

Małgorzata Dąbrowska

"Długie widzenie..." : wspomnienie o Małgorzacie Maciszewskiej Komorowskiej (1955-2005)

Saeculum Christianum : pismo historyczno-społeczne 12/1, 355-358

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



„DŁUGIE WIDZENIE...” WSPOMNIENIE

O MAŁGORZACIE MACISZEWSKIEJ KOMOROWSKIEJ (1955-2005)

Małgosia Maciszewska, którą poznałam w 1979 r., na studiach doktoranckich w Pracowni Historii Kultury Średniowiecznej IH PAN, kierowanej przez prof. Bronisława Geremka, była postacią niezwykłą. Historyk wyczulony na fakt, że wspomnienia pośmiertne obciążone są dużym subiektywizmem, weźmie już pod lupę ostatnie słowo pierwszego zdania. Cóż bowiem znaczy niezwykłość? W naszej korespondencji, którą prowadziliśmy przez lata całe, byłby to pozornie dobry temat do rozważań, miałyśmy bowiem ważniejsze sprawy na głowie.

Małgosia była drugim, tzw. późnym dzieckiem Jadwigi i Antoniego Maciszewskich. Jej brat, Jerzy, jest od niej starszy o 20 lat. Otulona rodzinnym ciepłem, wyrastała w domu tradycyjnym, przedwojennym. Miała urodę i kobiecy czar, jasność sądów, błyskotliwość, ripost, uczciwość, z którą trudno żyć, i jeszcze trudniejsze rozterki dotyczące tego, jak przeżywać życie. Być może fakt, że obracała się w gronie starszych ludzi, powodował tę sprzeczność, nie zawsze czytelną dla otoczenia. Z jednej strony była urokliwa, co doceniali admiratorzy, z drugiej – zamyślona nad sensem wszystkiego, co się robi w życiu. Tę drugą stronę ujawniała dopiero po jakimś czasie. Była więc postacią wielbioną przez wielu z powodu pozornej bez troski, znaną naprawdę tylko nielicznym, przed którymi otwierała swój świat pełen pytań. Czy znaną do końca? Czy można siebie lub kogoś drugiego znać do końca? To także nie był temat dla naszych rozmów i listów, choć owszem, pojawiał się zawaolowany. „Jak ktoś ma honor to ma humor i nie męczy innych” napisała w 1986 r. Narzekając na kolejną, jesienną szarość, zapytywała w 1990 r.: „Jak, nawet w przypadku posiadania w sobie fundamentalnego ładu, bronić się przed takimi dniami?” „Wybacz, jak mawiał mój kolega, póki się nie ożenił”, pisała dowcipnie innym razem, kwitując tym samym niemożność odpowiedzi na pytanie o fundamentalny ład.

Małgosia skończyła studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim, pisząc pracę magisterską z historii średniowiecza na seminarium prof. Henryka Samsonowicza. Studiowała też etnografię, zwaną także antropologią kulturową. Na tym kierunku rozpoczęła pracę dydaktyczną i badawczą. Wyjeżdżała na wywiady do odległych wsi starowierów na Suwalszczyźnie czy łemkowskich siedlisk pod Gorlicami, do których potem wracała prywatnie przez wiele lat. Z doskonałą rekomendacją prof. Samsonowicza znalazła się na seminarium doktoranckim prof. Geremka, który spoglądał na średniowiecze „spod oka” antropologii kulturowej. W każdą środę spotykali się tam badacze arcyceikawi. „Starą gwardię” stanowili profesorowie: Stanisław Trawkowski i Jerzy Dowiat, seminarium zawiadywali prof. Geremek z prof. Stanisławem Byliną, młodymi doktorami

były przyszłe gwiazdy mediewistyczne: Halina Manikowska, Hanna Zaremska, Jacek Banaszekiewicz, a wśród nowego narybku znaleźli się: Małgosia, Elżbieta Wilamowska Bylinowa, Wojciech Brojer, Paweł Dobrowolski i inni. Małgosia dostała się pod opiekę prof. Dowiata, którego urok był nieodparty. Jesienią 1980 r. pisała: „Wiem od Dowiata, jak wyglądał Nowy Świat przed wojną, ale nie wiem, jaki ma być plan tej naszej pracy. Cóż to jednak jest wobec cukierni Lourse'a na Krakowskim? Nul”. Wkrótce miało się okazać, że obie kwestie straciły na znaczeniu.

Powstanie Solidarności zaangażowało Małgosię bez końca, a stan wojenny pokazał, co znaczy patriotyzm wysokiej próby, którego nie obnosi się na pokaz. Gdyby „bibuły” umiały mówić, powiedziałyby dużo o ryzyku, jakie ponosiła Małgosia, i za które płaciła rewizjami oraz przesłuchaniami. Przede wszystkim jednak, pod skrzydłami Zofii Romaszewskiej, zajmowała się pomocą rodzinom internowanych. O tym nie było mowy w listach, które przychodziły często ze stemplem cenzury, zawierając w sobie treść płochą, ale i czytelne aluzje. W listopadzie 1982 r. Małgosia pisała: „Dochodzę do wniosku, że bardziej groźne wydaje mi się to, co będzie, a nie to, co jest”. Na Boże Narodzenie tego roku dodała: „Ten list to sygnał, że należy nam się długie widzenie”. „Obowiązuje hasło: żyć trzeba” – pisała rozdrażniona w tym samym roku – „i, broń Boże, nie pytać z kim, jak, po co, itd.”. Średniowiecze odchodziło na plan dalszy, prof. Dowiat umarł, a wraz z nim wspomnienia o cukierni Lourse'a. Małgosia nie pozwoliła sobie jednak tych wspomnień odebrać. Znajdowała je w domu Anieli Steinsbergowej, starszej pani z przedwojennej palestry, skupiającej wokół siebie czołowe postaci opozycji osiemdziesiątych lat. „Byłam u pani Anieli” pisała w listopadzie 1986 r. „Słaba bardzo, ale zaraz zauważy, czym pachnę”. Tęskniła do świata przedwojennych bał, jour-fixów. „Mimo nieufności w ideały, trzeba by się zabawić” pisała w 1983 r., pytając jednocześnie, „czy jest w Łodzi herbata chińska i guma do majtek”. To były listy, z których wyczierała Jej ładna, wesoła twarz. Tylko Jej uchodziły wyrażenia, które w czyichś innych ustach zabrzmiałyby niestosownie. „Przepraszam za słownictwo, ale myślę jeszcze gorzej”, potrafiła dopisać na zaklejonej już kopercie z października 1991 r., rozgoryczona rzeczywistością polityczną. Powróciła do doktoratu, który pisała zrywami. Zajęła się ostatecznie środowiskiem bernardynów, co wiązało się m.in. z wyjazdami do Krakowa i pracą w archiwum klasztornym. „Wierz mi, pisała w 1990 r., że te miasta, to liczenie bibliotek, kancelarii, jest mi obce”. W istocie, to nie był Jej „genre”, ale rada była, że wróciła do pisania. W 1986 r., w jednym z listów wyznała: Spotkałam BUW-ie Bronka (prof. Geremka) który szczęśliwie nakrył mnie na pracy pisarskiej”. „Ile czasu można pisać – pytała. Cierpię, pisząc długopisem Zenith, cholera”.

W 1985 r. Małgosia poślubiła Jacka Marię Komorowskiego, informatyka z wieloma dyplomami, wielbiącego Jej urodę i uwielbiającego się z Nią przekomarzać. Trzeba było słyszeć te zabawne riposty, a i prawdziwą kobiecą złość! Stworzyli ciepły, otwarty dom na Gocławiu, w którym Małgosia pielęgnowała świąteczne tradycje oraz przedwojenne wyobrażenie o rodzinnym cieple. Na Boże Narodzenie stroiła choinkę, przygotowywała bigos, Jacek kręcił mięso na pasztety. Z dużą godnością starali się oboje utrzymać standard domu, choć Jacek zmieniał prace na mniej dobre z uwagi na niepokorność wobec

przełożonych, jak pisała Małgosia, Ona zaś straciła etat na Uniwersytecie, miała jednak marzenia o założeniu zakładu etnografii w Białymstoku, gdzie pracowała przez dwa lata, nauczając średniowiecza. „Forsy brak, ino fakultetów nadto, nie uważasz?” pisała w 1992 r. Szukała pracy poza uczelnią. „Zbyt ciekawy życiorys dla pracodawców”, wyznawała z przekąsem w 1998 r. Starła się jednocześnie, aby prof. Geremek, którego pochłonęła polityka, doprowadził Ją do ukończenia doktoratu, którego rozdziały „woziła do Sejmu”. „Chciałabym wypchnąć tę pracę na dobre, gdybym ją pisała normalnie, bez wieloletnich przerw”, pisała w 1997 r. Przerwy te spowodowane były nie tylko odmienioną rzeczywistością zewnętrzną, ale absorbującą sytuacją rodzinną. Rodzice się starzeli, wymagali nieustannej opieki i pomocy. Ci uroczy, zabawni państwo, stali się obolali i kapryśni. „Od właściwie paru lat jestem gospożą, pielęgniarką! kością do podgryzania” żaliła się w tym samym roku. „Zamierzam jechać po kota”, pisała dalej i tak przywozła z suwalskiej głuszy słynnego Cymbala.

Ojciec dożył dziewięćdziesięciu lat, ale nie doczekał obrony doktorskiej Małgosi. „Czy On mnie widzi?” – pytała w 1998 r. Tęskniła do młodzieńczej beztrioski, wspominając jeden z wakacyjnych listów ojca, w którym zalecał, „aby nie straciła na wadze, dbała o kulturę człowieka, a on już kupił zeszyty”. Wkrótce przyszło Jej zmagać się ze starością matki. „Cóż ja poradzę na starość i śmierć, której i ja nie ominę”, pisała w tym samym czasie. Towarzyszyła temu głęboka refleksja religijna. „Co to jest rozpoznanie Bożego planu w sobie?” pytała w 1985 r. „Wierzę w fakt Zmartwychwstania” i dodała: „Straszne, że wiarę się ma albo nie”. Bolał Ją upływ czasu oraz tęsknota za czymś nieuchwytnym, niespełnionym. „I to, teraz, psia krew, ma być dojrzałość?” pytała Małgosia w 1981 r. Czas pędził szybko mimo Jej narzekań na stagnację. W 1989 r. podsumowała w liście: „Tempi passati, jak mawiała staruszka Steinberg, Tempi passati”. Dziesięć lat później Małgosia otrzymała etat adiunkta w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Cieszyła się, że będzie miała pole do uprawiania historii Kościoła, choć nie była pewna „czy belferka to jest to”. W 2002 r. Wydawnictwo DiG opublikowało Jej książkę *Klasztor bernardyński w społeczeństwie polskim 1453-1530*. Rozmyślała o habilitacji. Jeszcze w 1998 r. prof. Samsonowicz podsunął Jej temat: „Synkretyzm religijny w Polsce w XVI w.”, który podchwyciła. W nowej uczelni miała realizować coś innego.

„Co po człowieku zostaje?” – pytała po śmierci matki. „Mają ludzie przedmioty, gadzety dla 'mienia', nie dla radości bycia z innymi”. „Uwolnić się od lęku, zdefiniować, czego człowiek się boi: śmierci, nicości, samotności, bólu? Jak dużo trzeba pokory czy łaski, aby wierzyć, że za tym jest miłość”, pytała w 1999 r. Cóż można było powiedzieć? Gdy zabrakło rodziców, nie lubiła spędzać świąt w domu. Wyjeżdżali z Jackiem do przyjaciół. Małgosia miała ich w Krakowie, Kalwarii Zebrzydowskiej, Gdańsku, by wymienić tylko kilka adresów. Ostatnią Wielkanoc spędziła w Kalwarii. Zmarła miesiąc później, w wyniku dotkliwych poparzeń spowodowanych wypadkiem przy kuchence gazowej. Jej ojca, żołnierza Armii Krajowej, pseudonim „Jur”, nie dosięgnął ogień Powstania Warszawskiego, Małgosię czekały płomienie. Wszystkich nas, cierpiących z powodu Jej odejścia, pocieszają zapewnienia Jacka, że nie skarżyła się na ból. Paradoksalnie, opa-

rzenia III stopnia nie są bolesne. Zmarła 26 kwietnia, 5 maja spoczęła w grobie rodzinnym na Cmentarzu Bródzińskim w Warszawie.

Przypominamy sobie Twoją uśmiechniętą twarz, Małgosiu, bon-moty, którymi nas oczarowywałaś, trzymając się swej zasady, że „kto ma honor, ten ma humor”. Twoja przyjaźń była darem. Twoje pytania o sens życia – poważnym wyzwaniem. Pozostaje niezatarte wspomnienie długiego widzenia i trzeba przy tym zważyć na celność tego sformułowania sprzed tylu lat.

Małgorzata Dąbrowska